

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Anonimowy poeta
Jerzy Bzazewski
Zofja Bohdanowiczowa
Ludwik Brzeski
Marion Canby
Roman Fajans
Aleksander Janta
Janusz Laskowski
Henryk A. Spitzman

Vol. 2 Nr. 29 (81)

Nowy Jork 16 lipca — New York, 21, N. Y., July 16th, 1944

Cena 15 ct.



PODCHORAŻY, KTÓRY STRACIŁ WZROK POD MONTE CASSINO

ALEKSANDER JANTA

KAWALERJA

*Z czem wy szaleńcy poszliście w szranki
podobnej bitwy?*

*Z szablą na pancierz? Z lancą na tanki
w wicherze gonitwy?*

*Szturmem poświęceń, rozmachem cwału
jak pod Rokitną?*

*Cóż im ułanom z tego zostało,
że krwią zakwitną.*

*Śmierć prosto w oczy dmie. Jezus Marja!
Dolo okrutna!*

*Nie kawalerja, ale Kalwarja
na polach Kutna.*

*Koń niedobity być może zarzy,
serce się wzdrygnie*

*Że niepotrzebnie ginęli w szarży,
co nie rozstrzygnie.*

*Co nie przychyli lauru zwycięstwa.
Daremne względy,*

*skoro świat wzgardził wzorami męstwa,
nie chce legendy.*

*A że go dręczy wyrzut sumienia,
przeklął tę ziemię,*

*po której idzie pochód ich cienia,
strzeamię o strzeamię.*

*Cóż że duch stawał przeciw materji
w ostatnim zrywie?*

*Kiedy Kalwarja tej Kawalerji
trwa uporczywie.*

Zuzannie Wieniawa-Długoszowskiej.

ZNAK

*Gdy dziś wiosną z wyraja wracające ptactwo
Klucze naszych żórawi i wieńce jaskótek
Szukają miejsc w przelocie na krótki przystulek
Niech odpoczną na wzgórzu, gdzie stało Opactwo.*

*Bo odtąd szlak powrotny tą świeci ruiną
I w sztandarach z niej bije skrzydłami orlemi,
Co wiernym znów otworzą drogę z włoskiej ziemi
Ku tej, która nie zginie póki oni giną.*

ZOFJA BOHDANOWICZOWA

W I L I J A

*Płynie wilijna woda wijna
Owija, mija w lot mierzeje,
Opalem fali w mgle się pali,
Liljową się odmielą leje,
Zdrojem, spokojem, dalej.. dalej...
Szumi, chlupocze po roztoczach,
Cichych szuwarów trzęsie kiście,
Dyszący pleśnią głaszczę moczar,
Pieści rokicin siwe liście.
Zacisza lasów senne, cieniste
Rozcina świstem szklistym, falistym...
Wiry i bryzgi wrą naporem,*

*Srogie szeregi rąbią w brzegi;
Urwiskom rudym i zatorom
Grozą ryczącym rwącym biegiem!
Czarne wyrwiska, srebrne wytryski,
Kręgi i nurty, prądów warkocze!
Miljardem kropel topiel pryska,
Gromem-ogromem wartko bulgocze!
I znów wilijna woda wijna
Owija, mija w lot mierzeje,
Opalem fali w mgle się pali,
Liljową się odmielą leje,
Zdrojem, spokojem, dalej, dalej...*



Pułkownik Frank Gabreski, pierwszy as lotniczy Stanów Zjednoczonych, — który strącił rekordową liczbę 28 aparatów nieprzyjacielskich jest z pochodzenia Polakiem, nazywa się Gabryszewski i jest synem pp. Stanisławostwa Gabryszewskich z Oil City, Pa. Pułk. Gabreski służył przez parę miesięcy w polskim lotnictwie i odznaczony jest krzyżem "Virtuti Militari". Tryumf Gabreskiego jest wielkim świętem Polonji amerykańskiej, która przygotowuje się do uroczystego uczczenia bohatera.

JERZY BAZAREWSKI

CZOŁEM PANIE MAJORZE!

Było to w Iraku, w pewnym nienaznaczonym na mapie zachauścieu, — gdzie prócz nafty ta tylko deszcze i pustynia, a na wiosnę chropowate pagóry pokrywają się tulipanami, gdzie ponadto, można nabawić się chronicznej nostalgji.

Do pierwszej brygady naszej dywizji, pewnego dnia przyjechał bardzo wysoki i chudy pan z trzema gwiazdkami na naramienniku, w faszowanych butach i z jasnymi płomykami w jasnych oczach. Oświatowy referent dywizyjny, podjął gościa obiadem, poczem obaj pojechali między gorki gdzie na oddawna padającym deszczu, mokły brygadowe bałajony i pułki.

Kim jest wysoki pan, dowiedziałem się od Witka Domańskiego, korespondenta wojennego dywizji. Wieść o przyjeździe Czapskiego obiegła inteligentką część wojska, przysłowiowym lotem błyskawicy. Wczesnym wieczorem, postanowiliśmy przytapać Czapskiego i poznać osobiście. Do grupy spiskowców należało dwóch Tadeuszów, Witek, Sławek i ja. Jako delegacja poszedłem ja i Sławek. — Przed domkiem gdzie Czapski miał nocować, opakaliśmy buty z błota, i z bijącymi sercami — weszliśmy.

Proszę się nie gniewać Panie Majorze, że tak wszystko wywlekam sentymentalnie i pokolei. Dziś, kiedy Pan od nas odchodzi, bardzo nam te przypomnienia są potrzebne. Był Pan z nami długo. Wiele rzeczy razem, a pod Pana kierownictwem zrobiliśmy, proszę się tedy nie gniewać, nie rumienić przytem swoim brzydkiem zwycajem.

Poznałem Józefa Czapskiego przed zgorą rokiem w Iraku. Zanim pierwszy raz w życiu uściśniętem jego rękę, wiedziałem że jest świetnym malarzem, czytałem jego książkę o Pankiewiczzu, z "Wiadomości Literackich" pamiętałem jego piękne kolumny. — Ale w sumie, było to bardzo mało. O wiele za mało, do otrzymania najproźwizoryczniejszego choćby obrazu człowieka, o wiele za mało aby móc powiedzieć: "To jest człowiek taki a taki..."

Dziś, po roku, kiedy wczoraj Czapski podał mi rękę na pożegnanie, wydaje mi się że mam już w sercu i oczach wyobraźni jego obraz. Potrafię o nim myśleć plastycznie i potrafię serdecznym palcem narysować na szybie własnego serca, to wszystko, co w czasie pracy wyszło na jaw, a co zawiera się w wysokim panu, dawniej rotmistrzu, dziś majorze.

Do wczoraj, Czapski był szefem Oddziału Propagandy i Kultury Armji Polskiej na Wschodzie a ostatnio Drugiego Polskiego Korpusu walczącego we Włoszech. Od dziś, szefem jest kto inny. Czapski pożegnał się z nami i wyjechał. Zdawałoby się że wszystko jest bardzo wytłumaczelne, oczywiste a do przetrawienia. Trudno żeby jeden człowiek całe życie prowadził jakąś instytucję za rękę. Naprawdę, rozstajemy się z Majorem Czapskim z uczuciem smutku, i przygnębienia. Wiemy że tak dla niego jak i dla nas skończył się bardzo romantycznie trudny i niepowtarzalny okres życia.

Czapski przyszedł do wojska w Rosji. Był chory, wycieńczony, szczęśliwy. Natychmiast zebrał ludzi. Zabrał się do pracy. Po Strumph-Wojtkiewiczzu przejął biednego, czterostronicowego "Orła Białego", użerał się od pierwszego dnia z cenzurą sowiecką o każde słowo, sam bardzo często głodny, fukał na innych gdy o tem wspominali.

Wojsko w Rosji rosło. Pojawiali się ludzie ze wszystkich kątów kraju. "Propaganda i Oświata" jak nazywali żołnierze dwa pokoiki gdzie robiono tysiące rzeczy — potężniała. Czapski zapracowywał się zupełnie bezprzykładowie. Biegał od Generała Andera, Dowódcy Armji do politruka sowieckiego o polskiem nazwisku Sokolowski.

W wiele dni później, w cichych rozmowach w Bagdadzie, Tel Awiwie, Kairze, Neapolu, czy jak ostatnia — na ruinach klasztoru Cassino, Czapski przynawał się że w dniach Rosji, było mu czasem za ciężko. I nie chodziło o ciężary fizyczne. Czapski, więzień Kozielska i Osztaszkowa myślał o tysiącach zaginionych kolegów, myślał ten najdziwniejszy chyba w wojsku naszym rotmistrz o wrześnie tragicznym i o przyszłości Polski, myślał o swojej sztuce od której w więzieniach i obozach odbiegł z konieczności bardzo daleko, a o której przecież nie zapominał. A kiedy patrzył na zmarłych już w wojsku, w Rosji, podnosił oczy ku niebu, rozmawiał z Bogiem, pytając spojzeniem kiedy się skończy masakra ludzi czarnych od mrozów i głodu.

Na przestrzeni trzech lat w ciągu których Czapski był szefem Oddziału Propagandy i Kultury Armji Polskiej na Wschodzie, a ostatnio tę samą funkcję piastował w Drugim Korpusie Polskim walczącym we Włoszech, przez oddział pozostający pod jego rozkazami przewinęło się wielu lu-

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 60 cents
Half yearly \$3.50 Yearly \$7.00

Entered as second-class matter
April 2, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

dzi. Byli oficerowie i strzelcy, mądrzy i głupi, dobrzy i źli lojalni i krętańcy. Przyszli, byli, część została, część odeszła. Wokół Czapskiego niedostrzegalnie ciepłym pierścieniem zgrupowali się niektórzy z tych ludzi. W Rosji przyszła aby prowadzić kuchnię pani Stefanja, osoba gruba i bardzo dbająca aby we wszelkich ewidencjach nazwisko jej wpisane było między "redaktorami". Przyszła w tej Rosji Zosia Hertz, kruczowłosa, nerwowa i bardzo koleżeńka, tytan pracy, która do dziś, napisała na maszynie pod dyktando Czapskiego — nie wiem, ale chyba parę tysięcy kilometrów arkuszy papieru. Wtedy przyszedł "do wszystkiego" malarz Westwalewicz i żulikowaty a zdolny Włodzio Kowanko czyli "Kronika rysunkowa APW". Bardzo od pierwszych, zaropiałych dni rosyjskiej, po amnestyjnej wolności przyłąnił do Czapskiego sercem dzisiejszy londyński korespondent PAT-a Zdzisław Bau, to samo tyczy się sepleniącego radcy i jeszcze kilku.

Kto nie wytrzymał, odszedł. Zostali zaciskający zęby, i siorbiący biedną zupkę. To była Rosja.

Żegnając się z nami w neapolitańskiej napół rozwałonej chałupie, Czapski starał się powiedzieć o każdym z nas osobno Powiedział tylko o niektórych, na wszystkich nie starczyłoby czasu. W tej chwili jesteśmy 350cio osobową grupą.

Żegnając się, major siedział z głową w dłoniach. Pod stołem nerwowo przestępowały nogi, na oczach, smutnym blaskiem lśniły okulary. Wysoko czoło przeciął kosmyk jasnych włosów. Takim Czapskiego zapamiętam.

Żegnaliśmy się raczej w milczeniu. Słowa więzły Majorowi w gardle. Bardzo się bałem że w pewnej chwili na obrus stołu, upadną dwie duże srebrne łyżki. Ale nie upadły. Chociaż myślałem, że nie wiele do tego brakowało. Te łyżki, cichaczem wytarli inni ze



Major Józef Czapski

swoich twarzy: drukarze "jeszcze z Rosji", Zosia — Buzułuk, Marysia — drukarnia, porucznik Z. — Rosja aż do dziś, ja — "już z Iraku". Inni.

Czapski dziękując swoim najbliższym współpracownikom, powiedział o pewnej idei, podniesionej w Rosji jak sztandar przez Dowódcę Armji Generała Andersa. Od czasu gdy generał Anders wyszedł z celi moskiewskiego więzienia i powiedział: "Odrzucamy wszystko co nas dzieli, przyjmujemy wszystko co nas łączy", ludzie którzy z Czapskim pracowali, ideę tę wykonywali jak mogli najlepiej.

I jeszcze były na tem pożegnaniu nazwiska czy raczej ludzie, bliscy

sereu Czapskiego ciężką pracą i wielu trudnymi dniami: porucznik Jerzy "który nawiązał jako kierownik naszej prasy, kontakt z całym światem" kapitan Gierat, który tak dobrze i w tak krótkim czasie wszystko nam zorganizował i inni, liczni, których tak jak wielki kawał życia — trzeba pożegnać.

Gdy żegnaliśmy Majora, mądry Tadzio Kopeć, osoba żywcem wyjęta z Żeromskiego, zacytował artykuł wydrukowany w jednym z numerów "Tygodnika Polskiego" w Nowym Jorku. Artykuł o Czapskim. Nie pamiętam już dokładnie, ale było tam napisane między innymi o czystości

serca i kryształach charakteru. Napisane było celnie, ciepło, prawdziwie. Wiem że nie lubi Pan — Majorze gdy o Panu mówią, ale tym razem odchodzi Pan... Prawda?....

Poznałem Józefa Czapskiego w Iraku. Pożegnałem we Włoszech. W irackiej Quayarze, Czapski przyszedł do nas w deszczowy dzień. W nocy tego dnia, była długa rozmowa przy kominku. Mowiliśmy na wiele tematów, o sprawach serca i naszej trudnej drodze. Mokra drzewo piszczało wśród czerwonych języków ognia. Patrzyliśmy w ogień słuchając głośniejszych myśli Majora. Wtedy urodziły się nieśmiertelne śmieci powiedziec przyjaźnie. Potem mowiliśmy i my, słuchacze. A potem był rok wspólnej pracy. Czapskiego coraz trudniej było osiągnąć. Robota jak spieniona woda przelewała się przez jego ręce, organizowały się gazety, teatry, odczyty. Czapski jeździł, mówił, prosił, czasem groził, do maksimum naciągał wydelikowane Rosją struny nerwów. Baliśmy się o niego. Pamiętam duszną Wazirijah w Bagdadzie, gdzie czasem kierownik kancelarii Pani Zosia przygotowywała w przerwie tropikalnej imbryk czarnej kawy. Przychodzili na tę kawę; Pieszczyński i Poniatowski i czasem pojawiał się jak meteor ułan — pisarz (pod Casino ranny ale dotąd żywy) Adolf Bochenski. W takich razach Czapski był zazwyczaj w jakimś Kirkuku, czy innej Quisil Ribath. Irak piekł się w ostatecznym upale, ale my, przy kawie, wiedzieliśmy że w tej chwili Czapski idzie gdzieś po gorącej pustyni z teczką w rękę i głową nabitą milionami spraw.

Nie rozminę się z prawdą jeśli powiem że każdy z bliskich idejom Czapskiego czatował zawsze na wolną szczelinę w jego fantastycznej pracy aby z nim chwilę pomówić, podzielić się myślami, podnieść dzięki niemu na duchu.

Czapski: człowiek, malarz, przyjaciel, intelektualista, żołnierz — odszedł.

Ano, cóż. Nic nie poradzimy. Możemy tylko na neapolitańskiej uliczce jeszcze raz (nie ostatni) uściskać jego rękę. Możemy spojrzeć na drogę jego od Kozielska do Cassino. Możemy "łzy niemieckie" jak mówi poeta, zatrzymać w bolącym gardle i resztkę głosu powiedziec: "Czołem panie Majorze."

Jeśli Bóg pozwoli, odnajdę Pana, Majorze w świecie. Bardzo będę ciekaw co nowego Pan namalował, co napisał Pan nowego o ostatniej znanej mi, a wielkiej swojej miłości: — Norwidzie. Zapukam do drzwi jak kiedyś w Iraku. Wiem że natknę się otworzywszy drzwi, na płonące czyste Pana serce. Ale narazie — czołem Panie Majorze.

IANUSZ LASKOWSKI

W ogniu nieprzyjacielskiej artylerji

(OD KORESPONDENTA MORSKIEGO "TYGODNIKA POLSKIEGO")

Na pokładzie O. R. P. "Błyskawica"
dnia 19 czerwca, 1944 roku

Pedantyczna systematyczność światła latorń morskich na brzegu francuskim staje się poprostu nudna. Już od przeszło tygodnia rozjaśniają mi niemal każdą noc, — zawsze jednakowe, zawsze regularne i zawsze takim samym łukiem promieni przebiegające po morzu. Natomiast morze nie jest nudne. Wynajduję w niem co noc jakieś nowe, nieznanne mi przedtem uroki. Oto przed kilku dniami tak się ku słońcu tuliło, że za żadne skarby nie chciało go wypuścić ze swoich objęć. I jeszcze długo odbijało soczyste kolory zachodu, przegradzające się w coraz bledsze — najtrudniejsze do określenia słowem, coraz subtelniejsze, tak nieznacznie przechodzące z jednego w drugi, że nie mogłem w żaden sposób odnaleźć granicy pomiędzy rudziejącym fioletem, a więdnącą pomarańczą.

Wczoraj myślałem, że księżyc zwarjował, wstając całkiem nieprzepisowo, — taka poświata legła na wodnej daleczyźnie. Były to ślady nasze, ślady, których technika dotychczas nie umie zatrzeć. I fosforyzująca woda jest dotychczas niezbitym dowodem obecności okrętów na morzu. Stąd też i samoloty namiętnie wypatrują fosforyzujących szlaków-brózd, które przy pilnym poszukiwaniu doprowadzają zawsze do wykrycia okrętu.

Przyglądam się co noc niebu i szeregim, fosforyzującym drogom, wodzie, przechodzącej z lekkiego błękitu w siwiznę stali i gwiazdom, rozwieszonym obficie, — pełnym rozmodlonego zachwytu nad nieskończonością międzyplanetarnych cisz.

I przyglądam się ludziom — sylwetkom, rzadko przesuwającym się przez pokład.

Zajęli stanowiska, wyznaczone z góry i tkwią na nich. Tak samo, jak tkwili wczoraj i jak będą na nich tkwili jutro. Dokoła nich roztoczyła się cisza, lekkozaprawiona ciągłym, równym stukiem maszyn i jękiem śruby okrętowej.

Pod torpedami przysiadł czarny, szczupły chłopak. Na uszach ma słuchawki. Jest już od 2 godzin na wacheie. Podesłał sobie ciepłe okrycie i siedzi na niem na pół rozwalony. Z pozycji marynarza sądziłem, że śpi. Ale szeroko otwarte oczy wskazują, że nie śpi. Nastawia je na mnie, jak reflektory, śledząc każdy mój krok, każdy ruch.

Wiem, że jestem do pewnego stopnia jeśli nie sensacją, to przedmiotem zainteresowania całej załogi. — Wczoraj po południu jeden z marynarzy zaczął mnie całkiem słusznie w taki oto sposób:

— Czy pan już coś napisał o nas?

— Napisałem.

— Gdzie to było?

— Kilka dni temu w radjo i w "Dzienniku Żołnierza" z 14go czerwca.

— A myśmy nie czytali. Mamy na pokładzie korespondenta wojennego i nie wiemy nawet co o nas pisze.

— Przecież słyszycie w radjo...

— Kto tam słucha? Sam pan wie, że w nocy stoimy na wachtach, a w dzień śpimy, jeżeli się uda.

Marynarz ma rację.

Noce na morzu — to ciężka, męcząca i żmudna praca. A dzień wcale nie zawsze jest odpoczynkiem. Są przecież zajęcia pokładowe, — niezbędne i nudne zarazem. I jest wieczne niewyspanie, które każe wykorzystywać każdą chwilę dla snu "na zapas".

Chłopak, śledzący każdy mój ruch na pokładzie wyraźnie interesuje się moją skromną osobą. Czuję to z utkwionego we mnie wzroku. I dlatego nie zaczynam rozmowy, — niech sam zacznie.

— Lubi pan wychodzić na morze?

— Lubię.

— Psia krew! Ja je też "kocham", żeby je cholera wzięła! Ledwie wczoraj wróciliśmy, zmęczeni jak foka po porodzie, już dzisiaj znowu spowrotem. Dwa tygodnie nie byłem na lądzie..

— Bądźcobać jest wojna, drogi panie..

— Ja wiem.... Psia.....

— Czemu pan poszedł do marynarki?

— A gdzie miałem pójść? Do lądowej i siedzieć, jak nasi siedzieli w Szkocji? Zwarjowałbym z nudów.

— Więc czemu pan klnie?

— Kto klnie? Ja wcale nie klnę. A że tam kilka mocniejszych słów puściłem, to jeszcze nie znaczy, żebym kłął. Widzi pan, jeżeli marynarz nie wyróżnie jakiegoś ostrzejszego słówka, — nic mu się nie udaje. Jak Boga kocham. Sam się przekonałem podczas naszej ostatniej walki. Coś mi się w telefonie popsło i niedobrze słyszałem rozkazy. Wszędzie szukałem przyczyny i ani rusz nie mogłem znaleźć. Tom tak zaklął, że nawet wstydy się przy panu powtórzyć...

— Zdaje się, że pan już kilka soczystych słówek wypuścił, więc skądże teraz ten wstyd?

— To wszystko było nic. Ale jak wówczas zakląłem — od razu telefon zaczął normalnie działać. W marynarce tak już jest, psia maś, że jeśli człowiek nie zaklnie, — niczego nie zrobi.

— Zmęczony pan?

— Jak cholera. Ja panu powiem, że to nawet przyjemnie, jeżeli pogoda jest dobra, wychodzić w nocy w morze. Człowiek przygląda się wszystkiemu i czuje się dobrze. Ale po pół godzinie spać mu się chce, bo ciągle jest niewyspany. A tu spać nie można. I nic się nie dzieje. Krążymy "w tę i nazad" i tyle tego. Co innego, jeżeli zdarzy się coś ciekawego. Tak, jak się nam przed tygodniem zdarzyło. Wtedy i zmęczenia się nie czuje i nie pamięta się, że się jest na okręcie. Jak my grzejemy i do nas grzeją, — człowiek o wszystkim zapomina. Nie wiem, co to jest, ale robię się wtedy całkiem inny.

Byliśmy blisko brzegów francuskich, na których zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Oto po lewej od nas — daleko — z nieba wolno spadała ognista plama, rozwijając się w mnóstwo drobnych światełek. To "flare'y" rzucane na spadochronach z samolotów, aby rozjaśnić pole bombardowania. Obok jednej wielkiej plamy ognistej, ukazała się druga, rozbijając się tak samo w mnóstwo drobniejszych, ognistych kulek. A potem dokoła rozrywać się zaczęły pociski niemieckiej artylerji przeciwlotniczej. Widocznie samoloty alianckie były już nad celem.

Wybuchy bomb odbijały się na niebie krótkotrwałym, czerwonym błyskiem i gasły. Odgłosów nie było jednak słychać.

W pewnej chwili z prawej wyrsać zaczęły jasne, wyraźne wybłyśki, biegnąc równo jeden za drugim. Tak, jakby ktoś lont podpalił. Ogień przesunął się wzdłuż niewidzialnego brzegu, aby znów wracać do swego punktu wyjściowego i biec ponownie tą samą linią.

Aż nagle lekki gwizd stanął nad okrętem na chwilę, aby potężnym wybuchem gruchnąć w pobliżu burty. I znowu, i znowu...

"Błyskawica" położyła się w gwałtownym skręcie i zwiększając szybkość, jak szatan poszła przed siebie w mrok nocy, pociągając za sobą pozostałe okręty w szyku.

— Widziałeś, jak nasz "stary" skreślił? Aż się "Błyska" położyła na lewej burcie...

— Co nie miałem widzieć. Małom się nie przewrócił..

I kiedy na pokładzie marynarze dzielili się między sobą świeżemi wrażeniami przeżytemi w ogniu nieprzyjacielskiej artylerji, na niebie mętną czerwienią zapalały się na krótko błyski-echa wybuchów zapalały się i gasły tam właśnie skąd grzały do nas niemieckie baterje. To lotnictwo alianckie robiło swoje, sprowadzone

nad stanowiska niemieckie przez ogień dział. A nielada musiały to być działa, jeżeli rozrywające się pociski tuż koło nas podnosiły słupy wody do wysokości napewno nie mniejszej, niż 8 m.

Nie wiem, czy te baterje niemieckie jeszcze istnieją. Ale wiem, że już kilkakrotnie potem chodziliśmy na morze w te same miejsca i brzeg francuski milczał. Nie zionął ku nam ogniem, ani wyrzucaną ku górze wodą nie zmuszał do zmiany kursu. Był jakby martwy.

I marynarze znowu zaczęli narzekać na nudę wychodzenia co noc na morze. Ale właściwie to nie jest nuda. To jest tylko prawdziwe, bardzo przykre zmęczenie spowodu niewyspania. Nic więcej. Jest to zmęczenie takie same, jakie przeżywa każdy myśliwy, — zmęczenie ustępujące automatycznie w chwili zetknięcia się ze zwierzyną. I powracające na nowo po polowaniu tak samo, jak i na okręcie na nowo powraca, gdy znajdzie się on zdala od nieprzyjacielskiego ognia.

ANONIMOWY AUTOR POLSKI PODZIEMNEJ

PANIE PUŁKOWNIKU KILIŃSKI

Wiersz o obronie Warszawy z cyklu "Varsovia semper heroica",
tym aktualniejszy, że pomnik Kilińskiego obalony został przez
okupanta w odwecie za walkę podziemnej Warszawy.

*Panie pułkowniku Kiliński,
który stoisz na placu Krasieńskich
na nieładnym i śmiesznym pomniku,
Na Miodowej, na Długiej, na Placu
mnóstwo mężczyzn i kobiet i chłopców,
barykady wznoszą z brukowców,
z starych mebli, wózków, materaców.
Patrz na twarze tych kupców, rzemieślników,
biuralistów i pracownic igły,
na ten upór na twarzach zastygły —
czy poznajesz, panie pułkowniku?
Cóż, że ponad ulicami
półtora wieku bezmała przewiało,
to ci sami, pułkowniku, ci sami:
lud warszawski, twoja krew i ciało.
To ci sami szewcy i subjekci
i ten uczeń ze szkoły smarkaty,
których wtedy w dniach insurekcji,
prowadziłeś na rosyjskie armaty.
Obróć na nich zwilgotniałe oczy,
patrz, jak wola niezłomna w nich rośnie.
jak ich upór zwycięstwa jednoczy..
wkrótce ujrzysz, jak giną radośnie.
Jak kwiatami ten kamienny cokół,*

*żeby uczcić twe męstwo i sławę,
tak szaniami otoczyli wokół
ich i twoje miasto, Warszawę.
I przysięgli sami przed sobą,
nie na rozkaz, nie przed żadną władzą,
że choć zginą, a tym Niemcom chorobom
swej Warszawy tak łatwo nie dadzą!
Jaka szkoda, panie pułkowniku,
żeś już służyć Warszawie tej przestał,
że cię wiąże i cięży piedestał,
że cię rzeźbiarz do granitu przykuł —
z tych koturnów zszedłbyś bohaterskich
i tam pobiegł poprostu gdzie oni,
z szewcką pasją w sercu żołnierskim
i z tą szablą podniesioną w dłoni.
I, być może, na szancach Warszawy
spotkałbyś się z swym nowym kolegą,
z nowym wodzem ludu warszawskiego
z dni pożogi i krwi i sławy.
I schyliwszy głowy w ukłonie
uściskałbyście sobie dłonie:*

— Pułkownik Jan Kiliński,

— Prezydent Stefan Starzyński.

ROMAN FAJANS

Z GENERAŁEM ANDERSEM U OJCA ŚWIĘTEGO

(KORESPONDENCJA WŁASNA "TYGODNIKA POLSKIEGO")

Rzym w czerwcu. Miłującymi ramionami swej wspaniałej kolumnady obejmuje Bazylika św. Piotra rozległy, położony przed kościołem plac. Z dwóch stron tego placu szmerzą fontanny, jedne z owych niezliczonych fontan Rzymu, które zachwycają wzrok każdego widza. Olbrzymi plac jest ruchliwy i gwarny. Wśród zalegającego go tłumu widać mało ubiorów cywilnych. Znaczna większość zdążających do Bazyliki lub powracających z niej to żołnierze amerykańscy i brytyjscy, którzy od paru dni, od chwili uwol-

bronią — wzbronione." Wprawdzie właściwy teren Państwa Watykańskiego zaczyna się dopiero za Bazyliką i nie wolno wstąpić na jego terytorium żadnemu wogóle wojskowemu, poza posiadającymi specjalne przepustki Sekretariatu Stanu, lecz już plac przed kościołem stanowi niejako Państwa tego przedsiónek. Dalej, na lewo od katedry — druga brama, tym razem już żelazna, a przy niej warta Szwajcarów w granatowych aksamitnych mundurach i błękitnych beretach. Tutaj jest już właściwa granica.

tykanu, podążając ku gmachowi w którym mieszczą się akredytowane przy Stolicy Apostolskiej misje dyplomatyczne.

Członkowie tych misji dyplomatycznych, poza przedstawicielami państw Osi i sprzymierzonych z nią krajów, byli przez całe cztery lata "Więźniami Watykanu" w pełnym tego słowa znaczeniu, przebywając w samym sercu nieprzyjacielskiego kraju, mogli mieszkać jedynie w obrębie Państwa Watykańskiego. Z rozkazu Ojca Świętego przebudowano więc dla nich dawny hotel pielgrzymów i dostosowano go, w miarę możliwości, do nowego celu, któremu miał odtąd służyć. Na każdym z pięter tego obszernego gmachu urządzono mieszkanie i lokal biurowy dla jednej z aljanckich misji. Gdy wchodzi się do takiego lokalu, widać wprawdzie od razu po sklepieniach komnat i innych szczegółach, że pokoje te przerobiono z cel klasztornych, przyznać jednak trzeba, że przy przebudowie zastosowano maksimum komfortu i wykazano dużo dbałości o wygodę ich dyplomatycznych lokatorów. Lokal np. Ambasady R. P. przy Stolicy Apostolskiej czyni nader miłe i estetyczne wrażenie, w znacznym stopniu prawdopodobnie dzięki przyrodzonym talentom gospodarskim i dekoracyjnym pani ambasadorowej Papee. Cały ten gmach nie ma chyba podobnego sobie na świecie. W jednym budynku i obok siebie przedstawicielstwa Polski i W. Brytanji, Francji i Stanów Zjednoczonych, Brazylii i Chin. Czegoś podobnego nie spotyka się poza tym.

Przed tym właśnie budynkiem oczekiwali Dowódcę Korpusu ambasador Papee w galowym mundurze, Ks. Biskup Polowy Gawlina oraz personel Ambasady. Po przywitaniu wsiedliśmy wszyscy z powrotem do samochodów, by udać się do prywatnych apartamentów Papieża. Droga do tych apartamentów to istny labirynt, w którym od razu zgubiłby się każdy, kto nie zna jej od długich lat. Mijaliśmy niekończące się zaułki, wąskie przejazdy między starymi murami fortecznymi, galerje, kręte i technące dawnością uliczki. Prowadził nasz orszak jeden z wyższych funkcjonariuszy Watykanu, więc jechaliśmy pewnie przed siebie, droga ta czyniła jednak na każdym z nas prawdziwie niesamowite wrażenie. Rozstawione w niewielkich odstępach posterunki gwardji papieskiej prezen-

towały broń. Wszystko to razem przeniosło na parę chwil w odległą zamierzchłą przeszłość. Zdawało się nam że żyjemy w epoce Odrodzenia i że oto odwiedzamy dwór papieski w Ferrarze czy tym samym Rzymie, ale jakże odmiennym...

Wreszcie stanęliśmy przed głównym budynkiem. Znajdowaliśmy się na niewielkim, prostokątnym dziedzińcu arkadowym. Z architektury otaczających ten budynek starych murów widać było, że zawierają one jakieś długie, oszklone galerje. Mieliśmy potem przechodzić przez nie. Na spotkanie Dowódcy Korpusu wyszli przed główne wrota wyżsi urzędnicy dworu papieskiego i kilka księży.

Po szerokich marmurowych schodach weszliśmy na pierwsze piętro pałacu. I tu zaczęło się zachwycenie. Serce Watykanu, dostępne dla tych tylko, których przyjmuje Ojciec święty, otworzyło nam nagle swe wrota i ujawniło swe bezcenne skarby. Prowadzono nas przez długie szeregi sal i galerji, z których każdej zawartość wystarczyłaby chyba na urządzenie wspaniałego muzeum. Wszędzie obrazy największych mistrzów Odrodzenia, wszędzie wspaniałe gobeliny i arras, w każdej sali olśniewająco piękne sufity i odrzwia, stare i artystyczne meble z przed wieków. Nie potrafiłbym powiedzieć dokładnie, przez ile takich sal przeszliśmy. Były ich chyba dziesiątki. Od ich świetności mąciło się poprostu w głowie. Przy każdych drzwiach i pośrodku wielu komnat — oczekiwały nas oddziały honorowe gwardji i najróżniejszych wojsk papieskich. Halabardnicy w hełmach i barwnych strojach, żołnierze w bermycach futrzanych, do złudzenia przypominających bermyce gwardji Napoleońskiej, piechota w czapkach jak z obrazu ilustrującego wojska Napoleona III, jeźdźcy w dragońskich hełmach — wszystko to prezentowało broń przed gen. Andersem. Wychodzili na spotkanie Dowódcy Korpusu coraz to nowi dostojnicy kościelni, przekazywali sobie z rąk do rąk gości i prowadzili wciąż dalej i dalej. Przeszliśmy m. inn. przez salę Klementyńską, zdobną w piękne freski papieża Klemensa VIII, który jako kardynał Aldebrandini był legatem papieskim w Polsce.

Wreszcie doszliśmy do sali Małego Tronu, gdzie powitał generała Andersa minister dworu papieskiego, Mgr. Mella di Sant Elia w otoczeniu

szambelanów świeckich i duchownych. Stąd Dowódcę Korpusu i ambasador Papee wprowadzeni zostali do sąsiedniej biblioteki prywatnej Ojca Świę-

Po piętnastominutowej rozmowie Ojca Świętego z Generałem — Papież Pius XII przeszedł do sali Małego Tronu, gdzie generał Anders przed-



OJCIEC ŚWIĘTY I GENERAŁ ANDERS
(rysunek Feliksa Topolskiego dla "Tygodnika Polskiego")

nienia Rzymu, udają się tłumnie do tej najwspanialszej katedry chrześcijaństwa, by choć na chwilę klęknąć przed Grobem Apostoła i pomodlić się za dusze poległych kolegów.

Plac św. Piotra odgradzony jest od reszty miasta przez świeżo wzniesiony parkan drewniany, w którym tu i ówdzie otwarte są niewielkie wrota. Przy każdym wrotach — budki strażnicze, gdzie pilnują wejścia M. P. amerykańscy i karabinierzy włoscy. Przy budkach — tablice z napisem: "Neutralne państwo Watykan. Wjazd pojazdów wojskowych oraz wejście z

Gdyśmy jednak dzisiejszego poranka wjeżdżali w granice Watykanu z generałem Andersem i jego otoczeniem, wszystkie te bramy stały przed nami otworem. Dowódcę Korpusu udawał się na audjencję prywatną do Ojca Świętego, a w tego rodzaju wypadkach warty są uprzedzone i nawet pojazdy wojskowe mogą wjechać na terytorium Państwa neutralnego. To też, gdy sznur samochodów naszych przekraczał najprzód jedną, a później drugą bramę, warty prezentowały tylko broń, my zaś zagłębialiśmy się powolutku w teren Wa-



Generał Anders ze świętą w Watykanie. Trzeci z lewej biskup Gawlina, w środku generał Anders, z prawej ambasador Papee

tego, gdzie odbyła się pierwsza część audjencji. Otoczenie generała Andersa wraz z ministrem dworu papieskiego pozostało w sali Małego Tronu.

stawił Mu kolejno wszystkich członków swego otoczenia. Z każdym z nich Ojciec Święty rozmawiał przez chwilę łaskawie, każdemu doręczył

własnoręcznie swą fotografię i poświęcony przez siebie różaniec. Na zakończenie Papież stanął wśród nas i wygłosił w języku francuskim następujące przemówienie:

"Z radością witam ukochanych synów Polski, tak drogiej naszemu sercu. Są oni tu zawsze mile i serdecznie witani i mają szeroko otwarte drzwi i serce wspólnego ojca. Życzymy Wam, by spełniły się wasze marzenia. Życzymy wam jaknajrychlejszego zmartwychwstania tak bardzo drogiej nam Polski. Błogosławimy wam wszystkim, rodzinom waszym, wszystkim osobom drogim waszemu sercu i wszystkim zamiarom waszym."

Podczas przemówienia Ojca Świętego mogliśmy przyjrzeć Mu się dokładnie. Bardzo wysokiego wzrostu, szczupły i trzymający się prosto, Papież ma pociągłą natchnioną twarz średniowiecznego ascety. Przez okulary spoglądają oczy mądre, dobre i przenikliwe. Ma wygląd rzeźki i ruchliwy; nie znać po nim jego podeszłego wieku.

Audjencja jest skończona. Ojciec Święty żegna się serdecznie z Dowódcą Korpusu i raz jeszcze błogosławi nas wszystkich. Idziemy teraz złożyć wizytę Kardynałowi Sekretarzowi Stanu Mgr. Maglione. Znowu przechodzimy przez szereg sal i galerji

pełnych nieopisanego przepychu, znowu prezentują broń przed generałem Andersem żołnierze Gwardji Szwajcarskiej w projektowanych przez Michała Anioła malowniczych mundurach żandarmerji papieskiej, gwardji palatyńskiej i szlacheckiej. Wchodzimy wreszcie do apartamentów kardynała Maglione i zaraz na wstępie, we wspianiałym przedpokoju, dostrzegamy na srebrnej tacy czerwony kapeluszek kardynalski. Jest to znak, że gospodarz jest w domu.

Pomimo ciężkiej choroby, Kardynał Sekretarz Stanu przyjął Dowódcę Korpusu i jego otoczenie, by w ten sposób zmanifestować swe uczucia dla Polski. Podczas dłuższej rozmowy z Generałem Andersem wyraził swe głębokie uczucia dla naszego kraju oraz podziwu dla Armji Polskiej i jej wspaniałego zwycięstwa pod Monte Cassino. Po skończonej rozmowie Kardynał Maglione zjawił się w sali Mniejszych Kongregacji, gdzie generał Anders przedstawił mu swe otoczenie. Kardynał wygłosił do nas krótkie, lecz nacechowane wielką serdecznością przemówienie.

Przez salę Królewską i Księżęcą Dowódca Korpusu wraz z Ambasadorem Papee, Ks. Biskupem Gawliną i swym otoczeniem udał się następnie do Bazyliki św. Piotra, gdzie powita-

ny został przez reprezentantów Kaplicy Najśw. Sakramentu, potym w Kaplicy Matki Boskiej Gregorjańskiej i wreszcie przy Grobie św. Piotra. Otoczeni tłumem żołnierzy aljanckich, modliliśmy się o zwycięstwo armji naszej, o szczęśliwą przyszłość Kraju i o rychły powrót do Polski.

Tyle razy byłem już w Bazylice św. Piotra, a zawsze czyni ona na mnie to samo wrażenie przygniatającego ogromu i potęgi, wobec których człowiek czuje się niewypowiedzianie maluczkim. Nie ulega wątpliwości, że w tym właśnie kościele majestat i potęga Boga znalazły swój najdoskonalszy i najwymowniejszy wyraz. Przedziwna była ta chwila, gdy modliliśmy się wraz z Dowódcą Korpusu w Świątyni Piotrowej. Któż mógł przypuszczać przed czterema laty, że Bazylika ujrzy tak rychło mundury polskie i to w takich okolicznościach?... Doprawdy, niezbadane są wyroki Boskie...

Tego samego dnia po południu, w organie watykańskim "Osservatore Romano", ukazał się krótki komunikat Dworu Papieskiego o prywatnej audiencji generała Andersa u Ojca Świętego. I pomyśleć tylko, że w tymże samym Rzymie padły nie tak dawno słowa: "La Polonia e liquidata"....

MARION CANBY

In memory of Richard Bychowski

DEATH OVER GERMANY

I.

RICHARD INTERVIEWED

*He, Richard, gave quick words
To a straight question,
"What are you fighting for?"
Eager and grave, he said,
"I am a Pole —
I knew the shades of night;
In my good Lancaster I fight
To bring the sun to every soul that lives!"
His bright words lay inert,
Waiting to fly...*

II.

RAIN OF SORROW

*His spirit took the air when all
That air was riddled through with fire;
It drifted lightly, high and higher
Till there was nowhere it could fall.*

*Meanwhile, his body, left behind
Without its navigator, swirled
In leveled spirals toward the world,
At ease, without a trace of mind.
So much for air, and fire, and earth,
Three of the elements; the fourth
Fell like a deluge from the north
Upon the being who gave him birth.*

III.

INSTANT QUICKENING

*"To bring the sun to every soul that lives!"
Skimming the waves,
The bright words fluttered over,
Into that mind deep-draped in tragedy,
Bringing an instant quickening of life —
Then, sudden and warm, the thought of Monica,
The little girl with posies in her hand,
Drew them to rest like clustered butterflies,
And spring again seemed possible to earth.*

HENRYK A. SPITZMAN (Rio de Janeiro)

NAFTA I BITWA O RUMUNJĘ

Zawładnięcie źródłami naftowymi jest bezwzględnie jednym z najważniejszych celów kampanji o zdobycie Bałkanów, jaką wszczęły wojska rosyjskie przez wkroczenie do Rumunii.

Nie można nie doceniać olbrzymiego zasięgu tego celu — zwłaszcza jeśli się zważy w jak dalekim stopniu zajęcie przez Rosjan zon naftowych wpłynąć musi na bieg wojny — skracając jej trwanie.

Pozbawione nafty rumuńskiej — Niemcy staną się niezdolne do kontynuowania swego wysiłku wojennego; mimo iż jest już dziś ogólnie znane zasadnicze znaczenie tego materiału pędnego dla celów wojny współczesnej, niemniej warto zanalizować aktualne aspekty problemu wobec marzu naprzód wojsk rosyjskich.

Złoża ropne Rumunii położone są wzdłuż zbocza południowego Karpat; najintensywniej eksploatowana jest nafta w powiatach Prohavy i Dombovic, — przyczem należy zaznaczyć, że pierwszorzędną jej jakość stawia ją, w statystykach europejskich, na drugim miejscu po Rosji.

Rumuńska produkcja ropy obliczana była przed wojną na 5,017,500 ton rocznie. Niemcy jednak, od momentu zawładnięcia przemysłem naftowym rumuńskim, powiększyli intensywność eksploatacji do takiego stopnia, że można obliczyć w przybliżeniu ich produkcję obecną, bez ryzyka większej omyłki — na przeszło 6 milionów ton.

Rafinerje nafty znajdują się przede wszystkim w Ploesti i Campina, gdzie funkcjonowało przed wojną szereg instalacji, w większości swej nowoczesnych, o wielkiej pojemności. Ropa odprowadzana była dwoma ropociągami zaopatrzonymi w urządzenia dostosowanymi do intensywnego transportu produktu. Jeden z tych ropociągów o długości 215 kilometrów, prowadził od Ploesti do Constantzy, portu naftowego nad Morzem Czarnym. Drugi — 110 km. poczynający się również w Ploesti, odprowadzał ropę do Giurgui, portu rzeczno nad Dunajem, pierwszorzędnie urządzonego, skąd liczna flotyła statków-zbiorników, wiozła ropę poprzez legendarną rzekę do ośrodków przemysłowych Centralnej Europy. Wyłączywszy więc tę produkcję ropy, powiększoną znacznie, jak powiedzieliśmy wyżej, pod okupacją i administracją nazistowską, — może Hitler liczyć jedynie na produkcję rdzennie niemiecką, nie przekraczającą 1,250,000 ton rocznie, na złoża

Włoch, Albanji i Francji, zupełnie nieznaczne, oraz na źródła naftowe polskie, których produkcja obliczana jest na 550,000 ton.

Zaznaczyć jednak należy, że już obecnie Niemcy nie mogą liczyć na naftę polską, gdyż — albo znajduje się już ona w rękach rosyjskich (Nadwórna), albo zagrożona jest zbliżaniem się wojsk sowieckich, tak że tyłko nieznaczna jej część pozostaje dostępną.

Coprawda Niemcy rozporządzają innym źródłem paliwa płynnego, mianowicie benzyną syntetyczną. Produkt ten jednak ma względnie niewiele zastosowań.

Aby uruchamiać nieskończoną ilość swych motorów Diesel, coraz szerzej rozpowszechnianych, we współczesnym przemyśle, — aby utrzymać transporty morskie i rzeczne, swe łodzie podwodne i okręty, awijacje swoją i czołgi — jednym słowem cały swój aparat wojenny i przemysłowy — Niemcy potrzebują tak olbrzymiej ilości nafty jak np. mazut i innych ciężkich olei i smarów, osiągalnych jedynie przez przeróbkę ropy — iż nonsensem było przypuszczać że tak przerażające wprost ilości mogły być pokryte czy zastąpione przez produkcję syntetyczną.

Krytyczną sytuację Niemiec, pod względem zaopatrzenia w ropę, pogarsza obecnie jeszcze zupełny prawie brak tłuszczów roślinnych, zastępujących częściowo niektóre oleje mineralne.

Powstaje pytanie: czy Niemcy będą w stanie zażegnać w jakikolwiek sposób grożącą im straszną katastrofę?

Jasnym jest, że w danym wypadku, jedyną próbą ratunku w tej rozpaczliwej sytuacji byłoby zaimprovizowanie, ze strony Niemiec, obrony, za wszelką cenę, terenów naftowych Rumunii.

Lecz wojska Marszałka Von Mansteina, które bronią dostępu do Rumunii znajdują się w pełnej rozsypce; pozatem nie można już dzisiaj uważać frontu rumuńskiego, za front jednolity.

Nie jednak nie charakteryzuje dokładniej stanu w jakim znajdują się wojska niemieckie, jak tempo coraz bardziej przyspieszone awansu rosyjskiego w ciągu ostatnich tygodni, przewyciężającego, z podziwu godną łatwością, przeszkody w rodzaju rzeki Dniestru i Prutu; co wieczór, armaty moskiewskie oznajmiają o odbiciu z rąk niemieckich nowych wielkich centrów miejskich.

Opór niemiecki na froncie południowym, jest zasadniczo przełamany.

Czy będą mieli Niemcy dość czasu by się zreorganizować i uzbroidać na nowo, wcielając nowe rezerwy do swych zdziesiątkowanych zeregów?

Apel do rezerw, w czasie inwazji Kontynentu przez Aljantów przy równoczesnej gorącej walce z powstańcami polskimi, jugosłowiańskimi i greckimi — wydaje się być kwestją bardzo trudną.

Nie mniej trudnym wydaje się, by Niemcy zdolali, wśród tej atmosfery klęski, zgalwanizować na nowo energię swych oficerów i wyczerpanych zupełnie żołnierzy.

Czyż uda się im naprzykład wciągnąć do walki resztki armji rumuńskiej o tak wątpliwej wartości bojowej?

Przygotowanie Niemiec do drugiego frontu pociągnęło za sobą najbardziej kompletną organizację obrony Zachodu, osłabiając automatycznie ostatnie możliwości obrony na Wschodzie.

Ponadto, w chwili obecnej, cała prawie siła powietrzna niemiecka zaangażowana jest w walce obronnej własnych granic — przeciw olbrzymiemu i bohaterskiemu wysiłkowi awjacji anglo-amerykańskiej, która nie schodzi z nieba podbitej Europy.

Godzina więc inwazji kontynentu przez Anglików i Amerykanów oznacza pierwszą sekundę ostatecznej agonji Niemiec.

W POPRZEDNIM 28 (80) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO":

Janusz Laskowski: Pierwszy patrol; Anatol Muhlstein: Na powitanie generała de Gaulle'a; Zygmunt S. Klingsland: Muzeum wojny; Biskup Gawlina do zwycięzców z pod Monte Cassino; Tadeusz Zajączkowski: Pod znakiem Czerwonego Krzyża; Jarosław Żaba: "Kresowa" żegna poległych; Stanisław Stroński: W cztery pary oczu; Opinie i zdarzenia.

LUDWIK BRZESKI

Żyd-Żołnierz walczył pod Monte Cassino

Przez długie miesiące strzelec Aleksander Grynberg czekał tej chwili. Gdy z Kraju nadchodziły wieści o masowych mordach dokonanych na braciach, o straszliwych pociągach śmierci, o likwidowaniu gheft w miastach polskich, zaciskał w rękę mocniej karabin i coraz mocniej pracował nad swoim wyszkoleniem. Szkołę podchorążych w Ismailii skończył z 6-a lokatą.

Nadeszła wreszcie oczekiwana chwila. Bój o Monte Cassino. Kapral podchorąży Grynberg mając pod swoim dowództwem 3 ludzi poszedł jeden z pierwszych do natarcia. 12 maja br. w pierwszy dzień ofensywy. Szturmem zdobyli pilbox niemiecki. Umocnili się i skierowali ogień na nieprzyjaciela. Podchorąży wyskoczył, by poprowadzić ludzi dalej. Zobaczył Niemców i począł strzelać. Padło kilku ale padł i sam podchorąży. Nie podniósł się już więcej. Ale jego sen o zemście ziścił się.

W tym samym dniu na wielu odciwkach bili się żołnierze Polacy-Żydzi. Z zaciekłością i determinacją. Kpr. pdch. Liberman Jakób, choć dwukrotnie ranny, nie pozwolił się znieść sanitariuszom. Walczył dalej, aż go raniono po raz trzeci — tym razem śmiertelnie.

Kapral podchorąży K. był drugim zastępcą dowódcy plutonu. Od młodzieńca padł porucznik, komendę objął jego zastępca. Gdy i ten zginął w dwie godziny później, pdch K. poprowadził pluton do natarcia. Bił się bohatersko przez 10 godzin. W południe kula nieprzyjacielska przebiła mu nogę na wylot. Zdał komendę plutonowemu, ale jeszcze w szpitalu, gdy go pytano, czy rana boli, odpowiadał pytaniem na pytanie: "A jak jest na "Widmie"? Czy pluton mój utrzymał swoje pozycje?"...

St. saper L. z szturmowej kompanii saperskiej nie rozstawał się nigdy z modlitewnikiem ani z fotografią żony. To dodawało mu bodźca do walki. Wziął kilku jeńców; Nie chcieli pokazać pola minowego, kazał im iść przed sobą. Pokazali..

Wiele, wiele przykładów bohaterskich czynów żołnierzy polskich-Żydów można cytować. Strzelec Kopel R. z Dywizji Karpackiej, gdy na jego oddział padła nawała ognia artylerji ryjskiego, schronił się do schronu, opuszczonego przez Niemców. Nie wytrzymał tam długo. Złapał erkaem, wyskoczył z schronu i począł sieć niemiłosiernie po Niemcach. Strzelec Julian F. z Kresowej otrzymał 4 rany

ale za każdą ranę zapłacił życiem jeden Niemiec. Mechel B. to stary żołnierz. W Tobruku został odznaczony za odwagę, we Włoszech był na niejednym patrolu. Tu ranny wyrwał się na plac boju ze szpitala. Strz. B. ranny był raz nad Sangro, drugi raz na stokach Monte Cassino. Ale nim został ranny, wielu Niemców położył trupem. Z Karpackiej jest też st. strz. K., który był już na 11 patrolach, st. trz. Sz. ranny w szyję, strz. Z., który na patrolu wraz z kolegami wziął 13 jeńców.

W jednym ze szpitali leży strz. Abram G. z Kresowej. W pobliżu Piedimonte zabił granatem dwóch Niemców. Potem z kolei sam oberwał. Opowiada o swojej "przygodzie" z dużą swobodą i śmiesznym chłop-

wili: "Idź do kompanji". Ja lice; w pierwszym schronie cy ludzi, w drugim cy i w cecim cy — to wszystko! To to kompanja?! To lachudry, nie wujsko!.. Leżał u Niemców 24 godziny, jeść dał mu pokryjomu jeden Ślązak. Gdy nadchodzili Polacy, Ślązak schował swój hełm i karabin u Abrama pod kocem. Został — chciał zostać. Do Polaków krzyknął "zostałem z waszym rannym żołnierzem". Tak Abram wrócił z powrotem do swoich. Teraz dziwi się, że sam Generał do niego przyjeżdżał." Nic ja wielkiego nie zrobił" — mówi — biłem Niemców, bo ca tych szwabów bić".

W jednej kompanji komandasów polskich we Włoszech na 72 ludzi znajduje się 7 Żydów. Wszystko mło-



Groby żołnierzy Żydów pod Monte Cassino

skim akcentem. Bo Abram G. to chłop-rolnik z dziada, pradziada. Miał swoją ziemię we wsi Ociejsk w Radomskim. Nie miał czasu na ozenek mówi — ale w wojsku służy nie pierwszy raz. Był w 27 pułku ułanów w Nieświeżu, a we wrześniu walczył w 1-ym garwolińskim pułku strzelców konnych. Abram to stary ułan, i stary żołnierz. od Peidimonte, gdy został ranny i dostał się do niewoli niemieckiej. Pytają go: "Jude?", a on odpowiada: "Jude", grożą mu, opatrywać nie chcą, wody nie dają. Mówią tylko "Gut deutsche granat", — więc odpowiada "Gut deutsche granat, to i gut deutsche bandaz". Śmieją się i postają go na tytu, do kompanji. Abram opowiada o tm; "Mó-

dzi chłopcy, po maturze. Pojechali na front z Anglii na ochotnika. Zuchwali; brawurowi niemal. Sierz. pdch. J. ma kilka odznaczeń bojowych, wśród nich Virtuti Militari. Dwóch innych udekorował niedawno Krzyżem Walecznych Naczelnym Wódcz. Kocha ich major, dowódca kompanji i wyraża się o nich z najwyższym uznaniem.

Osobną kartę w historii boju o Cassino mają lekarze-Żydzi. Wielu z nich pracowało w wysuniętych czołówkach chirurgicznych. Tam, na posterunku zginął por. dr. Graber, tam został ranny ppor. dr. M. I wtedy, gdy niemiecka artylerja ostrzelała punkt opatrunkowy, choć widoczny był im znak czerwonego krzyża, dr. M. sam ranny, opatrywał innych. Kie-

ownik Czołówki Chirurgicznej, kpt. K., ppor. S., lekarze CCS-ow i szpitali dali ze siebie wszystko, by ratować życie żołnierzy. Wielu rannych będzie ich wspominało z wdzięcznością.

40-letni plutonowy Elias Szapiro był instruktorem w szkole wyborowych strzelców, 20-letni strzb. Pastor, brat znakomitej pływaczki polskiej, jego uczniem. Padli obaj na stokach Monte Cassino. W walce o wzgórze Klasztorne zginęli i inni: st. strz. Lipszyc Szloma, strz. Szybel

Chuna, 45-o letni strz. Zygmant Hersz, strz. Szapiro Marek. Zginęło i 20 innych żołnierzy polskich-Żydów. Leżą teraz wszyscy na cmentarzach w Venafro, San Vittorio i w rejonie Dywizji Kresowej. Wkrótce ich ciała znajdą się na wspólnym cmentarzu poległych żołnierzy polskich, na Monte Cassino, obok klasztoru. Za dusze ich rabin wojskowy odmówił nabożeństwo żałobne, a kantor odśpiewał "El Mole Rachmin" — "Boże pełen miłosierdzia" — prosił śpiewną mod-

litwą kantor — "przyjm zmarłych bohaterów do nieba." Na pewno Bóg łaskawy znajdzie tam dla nich odpowiednie miejsce.

Wiele, wiele przykładów odwagi, bohaterstwa, patriotyzmu żołnierzy polskich-Żydów można by było przytoczyć. Mówią o nich z uznaniem i Dowódca Korpusu i dowódcy wszystkich jednostek. Żołnierz polski-Żyd walczył na stokach Monte Cassino. Walczył o wolność, całość i niepodległość Polski.

O P I N I E I Z D A R Z E N I A



Ranny pod Monte Cassino

MAJOR SKALSKI I JEGO "CYRK"

Naczelnny wódz generał Sosnkowski udekorował ostatnio majora pilota Stanisława Skalskiego złotym Krzyżem "Virtuti Militari". Wysokie to odznaczenie wyróżnia oficera, który jest jednym z najświetniejszych lotników nie tylko polskich, ale jednym napewno z największych asów lotniczych tej wojny.

Major Skalski — 28-letni zaledwie dokonał na czele swego dywizjonu myśliwców czynów tak karkołomnej i szaleńczej odwagi zwłaszcza nad Tunisiem, że eskadra jego nazwana została "cynkiem" Skalskiego. Kiedy Skalski i jego czternastu towarzyszy przybyli w marcu 1943 roku do Tunisu mieli już za sobą 3,000 godzin lotów operacyjnych. Prawie każdy z eskadry brał udział w kampanji wrześniowej, a każdy w Battle of Britain. Siedmiu z nich było już przynajmniej raz zestrzelonych, sami zaś zestrzelili ogółem 54 samoloty nieprzyjacielskie napewno, 16 prawdopodobnie a 10 uszkodzili. Po 50 dniach walk — cyfra zestrzelonych napewno wzrosła do 79, prawdopodobnie do 19, a uszkodzonych do 19. Już wówczas — mieli 3 krzyże "Virtuti Militari", 33 krzyże Walecznych, A. D. C. F. and bar, 1.D.F.C i 1 "Croix de Guerre avec palme".

Major Skalski zestrzelił osobiście 16 samolotów napewno, 2 prawdopodobnie, uszkodził 4. Ma on złoty i srebrny krzyż "Virtuti Militari" 4 krzyże Walecznych, D. F. C. z dwoma okuciami. Był zestrzelony dwukrotnie, raz ciężko ranny. Był dowódcą eskadry, dywizjonu polskiego i brytyjskiego, dowodzi obecnie major Skalski skrzydłem polskich myśliwców. Ma za sobą 190 lotów bojowych i 21 operacyjnych.

"DOBRE RADY" "TOBRUCCZYKA"

"Okolo południa zaczęli strzelać — i oni i nasi. Od samego huku włosy stają dęba tym bardziej, że jestem nowicjuszem. Postanowiłem przeto pogadać z jakimś weteranem, który

zapewne już od kilku dni znajduje się na froncie.

— Panie — zagaduję jakiegoś starszego strzelca — co oni tak strzelają?

— Huraganowy ogień nasze skutecznieją... O, patrz pan, jak w te wiladźjo wałą!

— No dobrze, ale Niemcy też strzelają.

— A tak. Uni z kulei nasze antylerje moździerzem macają.

— No, a ja, że to znaczy się w broni pancernej służę, czy też moge być poszkodowany?

— Pytasz się pan, jak sam laik. Przecież taki granat moździerzowy przed wybuchem nie sprawdza pana znaku samotności i służbowej przynależności. Trzeba się chować po dziurach.

— No dobrze, ale kiedy padać? Tyle jest tego huk, że człowiek jest zdezorientowany.

— Panie, na wojnie człowiek musi być cwany, a nie jakiś tam zde... zdro... i tak dalej, jakżeś tam pan powiedział. Jak z tyłu huknie, to stój pan. To nasze z palu lub jeich sprzymierzone kolegi po fachu strzelają. Ale jak zacznie świstać z przodu, kładź się pan odróżniać na słuch. Ja w Tobruku też laikiem byłem a dzisiaj — sam pan widzisz." (z tekstu uczestnika walk pod Monte Cassino).

TOPOLSKI Z DRUGIM KORPUSEM

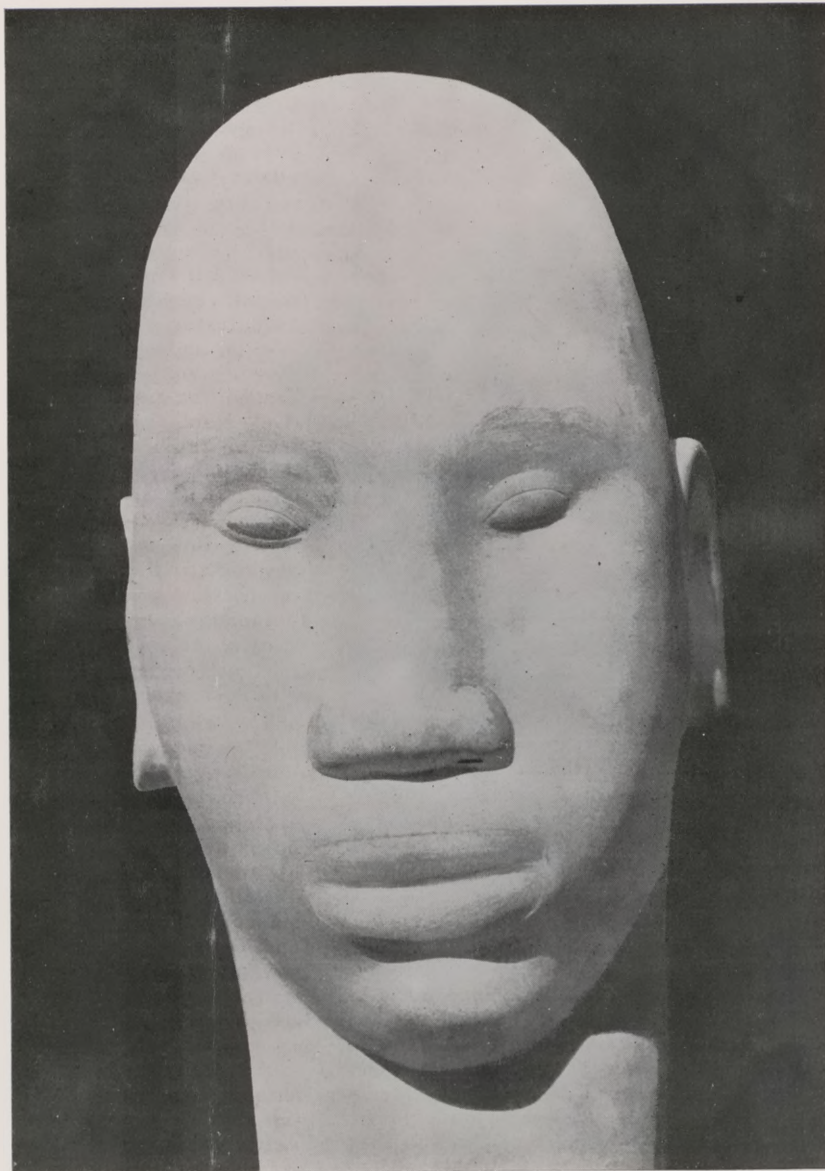
Świetny rysownik polski Feliks Topolski jak to już pisaliśmy odbywa obecnie podróż artystyczno-propagandową z Drugim Korpusem towarzysząc mu w jego bojach i "pisząc" w pewnym sensie swym mistrzowskim ołówkiem historję jego bohaterskich wyczynów, która równie świetna rysunkowo jak dotychczasowe albumy Topolskiego stanie się napewno najważniejszą dla nas jego pracą jako dokument.

W dzisiejszym numerze dajemy rysunek Topolskiego, zrobiony w czasie audjencji, udzielonej przez Ojca Świętego generałowi Andersowi i grupie oficerów z Drugiego Korpusu.

Na fotografii w dzisiejszym numerze pomieszczonej — widzimy Topolskiego w egzotycznym otoczeniu na Bliskim Wschodzie.

SUKCESY POLSKIEGO ARTYSTY

W Aleksandrii, Bejrucie, Kairze, Tel-Awivie i Jerozolimie odbyły się ostatnio wystwy młodego artysty polskiego Edwarda Matuszczaka, wszędzie zyskujące sobie uznanie prasy i publiczności. Na wystawie w Kairze, w pięknej sali "Societe Orientale de Publicite" zgromadził artysta około 300 prac: obrazów, olejnych, akwareli, gwaszów, rysunków, metaloplastyki i rzeźb w kamieniu — wszystkich nacechowanych bardzo nowocze-



Edward Matuszczak: Młody egipcjanin (rzeźba)

sną i wielką indywidualnością twórcy. Liczne prace Matuszczaka zakupione zostały zarówno do muzeów publicznych na Bliskim Wschodzie jak też do zbiorów prywatnych. Wśród artystów w tych krajach znajomość sztuki Matuszczaka jest powszechna. Oto ważniejsze głosy prasy o naszym artyście:

"Le Progress Egyptien" zamieścił nie tyle recenzję wystawy, ile obszerny artykuł p. Marcelli Hitchmann o malarstwie Matuszczaka. "To więcej niż wystawa" rozpoczyna swój artykuł p. Hitschmann, "to cała historia. Na ścianach tej obszernej sali począwszy od studjów... aż do rysunków, oczyszczonych z naleciałości dnia dzisiejszego, znalazły się wszystkie trudy artysty. Matuszczak nie jest malarzem z wieży z kości słońcowej dla

zmęczonej inteligencji. Jest to "robotnik intelektualny", który manifestuje swą współczesność. Dzieła tegoroczne są zakończeniem długich poszukiwań i początkiem ostatecznego wyrazu wizji malarza...

"Jest to zdaje mi się, pierwszy malarz zagraniczny, który potrafił uchwycić prawdziwą istotę Egiptu. Zamiast tworzyć tanie "oryginalności" dostrzegł on barwy i formy żyjących, te same barwy i formy, które w innej postaci, przekazane nam zostały przez sztukę dawnego Egiptu..."

W "La Marseillaise" poświęcił Matuszczakowi dłuższy artykuł naczelny redaktor tego pisma, wybitny krytyk sztuki p. Le Guevel. "Prawdziwa sztuka", pisze on, "nie ujawnia swych bogactw pierwszemu lepszemu. I należy oddać tę sprawiedli-

wość dziełom Matuszczaka, że nie sposób dostrzec w nich chęci podobania się publiczności. Ten polski góral odznacza się nieokiełzaną niezależnością, kroczy on drogą, po której wiedzie go jego genjusz, i nigdy nie liczy się z tym czy inni idą za nim, czy też nie... Nie wiem czy zrobię komplement Matuszczakowi, jeśli powiem o nim to, co jeden z krytyków powiedział kiedyś o Monnecie: "Ma tuje tak, jak ptak śpiewa". U Matuszczaka wszystko jest owocem długich i trudnych poszukiwań, zmierzających do dania barwie maksimum jej wyrazu. Nigdy nie widzieliśmy go kontemplującego z podziwem swe własne dzieła, zastygającego w jakiejś "mannerze". Nie, jest to wieczny innowator, pałający dziś to, co uwielbiał wczoraj i doprowadzający do końca każdy eksperyment. I oto dzisiaj, powróciwszy z pielgrzymki do doliny Królów (Luxor), rzuca się w wir nowych poszukiwań... i używa wszystkich zasobów swej palety, od najmocniejszych do najłżejszych odcieni, a przy tym tak świeżych, że mogłoby się здаwać, iż wyszły z pod pędzla dziecka".

W tygodniku angielskim "The Sphinx" Eryk de Mauny pisze: "Edward Matuszczak jest artystą polskim, którego dojrzałe i wysoce indywidualne prace otrzymały należyte ramy na wystawie... Przebywając od niejakiego czasu na Środkowym Wschodzie, jest on jednym z niewielu artystów, którzy potrafili ocenić należycie olbrzymie możliwości Wschodu, którzy czerpią zeń i umieją wyrazić jego skoncentrowany blask w definitywnych liniach i barwach. Matuszczak skierował swą uwagę na mnóstwo obiektów a rezultat takiego stanu rzeczy jest taki, że podczas gdy każdy poszczególny rysunek jego i obraz posiada swój własny wyraz i własną siłę, tworzą one razem harmonijną całość. Jest to jak gdyby świat w mikroskopie, świat, którego bogata różnorodność ujawnia się od pierwszego wejrzenia..."

"Mamy tu do czynienia ze sztuką głęboko indywidualną, ze światem zrozumiałym wprawdzie i błyskotliwym, lecz równocześnie ukształtowanym i uwarunkowanym przez wizję artysty... Przeważają tu oczywiście postacie ludzkie. Są to ludzie, zawsze ludzie, którzy przykuwają uwagę Matuszczaka. Traktuje on ich rozmaicie: jednych z litością, innych z humorem, innych jeszcze z poczuciem satyry, które przypomina Grosza."

"POEZJE WYBRANE" SŁONIMSKIEGO

Nakładem "Nowej Polski" w Londynie ukazał się "Wybór Poezji" Antoniego Słonimskiego, zawierający najwybitniejsze wiersze poety z jego



Topolski w Kairze

dwudziestopięcioletniego dorobku — od tomu "Parada" poczynając, aż do sławnego i tak wszędzie popularnego "Alarmu"..

PRUSZYŃSKI O WIELOPOLSKIM

Londyńska "Nowa Polska" drukuje od paru miesięcy obszernie, z wielką werwą i rozmachem publicystycznym pisane studjum Ksawerego Pruszyńskiego o Wielopolskim. Dawno już w tej dziedzinie literatury na pograniczu historii "vies romancees" i polemiki politycznej nie czytaliśmy rzeczy tak barwnej, żywej, z takim pisanej rozmachem i krewkością. — Niestety! Przejrzysta tendencja tej pracy opiera się na analogjach pozorach słuźnych, a w gruncie rzeczy zupełnie dowolnych. Pruszyński wychodzi wyraźnie i to z niepojętym zdeperwowaniem z tych samych założeń co propaganda sowiecka, — że mianowicie Polacy nie chcą zgody z Rosją i przez to grób sobie kopią — podczas kiedy jasną jest rzeczą, że to Rosja godzi się na Polskę, taką tylko, która będzie jej podlegała. Ta tendencja aż nadto przejrzysta prowadzi też autora do różnych wycieczek polemicznych, idących ciągle po linii tego co nam nasi wrogowie zarzucają — wśród tych "przycinków" kpinki z wodzów polskich, którzy bili się w całej Europie po roku 1830 i "żadnej bitwy nie wygrali" — należą napewno do najmniej udanych.

AMBASADOR FOTICZ USUNIĘTY

Jednym ze skutków utworzenia nowego rządu jugosłowiańskiego, kierowanego przez bana Chorwacji Subasica, a złożonego między innymi ze

zwolenników Tita, rządu który zerwał wszelką łączność z Michajłowiczem — było odwołanie ambasadora Jugosławji w Waszyngtonie Foticza, narodowca serbskiego i zdecydowanego przeciwnika Tita. Ambasador Foticz jest człowiekiem, który nie daje sobie dmuchać w kaszę — i otrzymawszy dymisję oświadczył — że nie uznaje jej, gdyż uważa, że król Piotr którego władzę uznaje nie jest panem swych decyzji, że nowy rząd jugosłowiański nie reprezentuje Serbów, którzy stanowią połowę ludności Jugosławji. Krótko mówiąc krewki ambasador nie tylko nie wyprowadził się z Ambasady, ale niejako okopał się w niej i stamtąd prowadzi atak na nowy rząd.

Z wywiadów, których udzielił zdaje się wynikać, że nie prowadzi on bynajmniej akcji antysowieckiej i po Waszyngtonie krąży bardzo wymowne powiedzenie (ambasador Foticz słynie z "powiedzeń") "Droga z Belgradu do Moskwy nie prowadzi koniecznie przez Zagreb."

Co oznacza, że sprawy jugosłowiańskie nie wyglądają tak poprostu jak ludzie sobie wyobrażają i że naczelnym w nich elementem jest wewnętrzny spór serbsko-kroacki.

Jeden z nowych ministrów rządu Subasica Dr. Sawa Kosanowicz, znany z prac prowadzonych w Nowym Jorku w duchu federacji środkowo-europejskiej ogłosił ostatnio projekt, jakoby tylko jego własny federacji Jugosławji z Bułgarią. Co dowodzi, że t. zw. zwolennicy Tita też wolą mieć silne państwo "na wszelki wypadek".

WEZWANIE DO ROBOTNIKÓW- POLAKÓW

Kierownictwo Walki Cywilnej w Polsce rozrzuciło ostatnio pomiędzy Polakami zatrudnionymi przymusowo w przemyśle niemieckim ulotki następującej treści:

“Polak w niewoli pracuje powoli”.

Bardzo dobry tekst, ale przypomina on tylko o tem, o czem napewno każdy Polak wie doskonale, że mianowicie należy Niemcom przeszkadzać wszędzie gdzie można i jak można.

HISTORYCZNA MOWA

Generał de Gaulle po przybyciu do Anglii po klęsce francuskiej 1940 roku powiedział, jak wiadomo sławną mowę zakończoną historycznym zdaniem “Francja przegrała bitwę, ale nie przegrała wojny”. Kiedy wychodził ze studia londyńskiego BBC, jeden z obecnych wskazał go ręką i powiedział: “Wychodząc z tej sali, generał de Gaulle wszedł do małego Larousse’a”.

“Mały Larousse” jest to powszechnie używana na świecie mała encyklopedia francuska, zawierająca wiadomości o ludziach i rzeczach, które każdy znać powinien.

PO ROZMOWACH W WASZYNG- TONIE

Jak wiadomo generał de Gaulle ma t. zw. trudny charakter i stosunki jego z Aljantami mimo najgłębszej wspólności interesów, która raz po raz się ujawnia nieraz wyglądają zgoła nieidyllicznie.

Na tem tle powstał z okazji wizyty generała de Gaulle’a w Waszyngtonie doskonały dowcip, który obiegł szybko stolicę. Nazajutrz po spotkaniu prezydenta Roosevelta z gen. de Gaulle’em ktoś go pyta:

“How do you feel Mr. President?”

“I have de Gaulle de bois”.

(Mieć ‘la geule de bois’ (twarz drewnianą) znaczy po francusku mieć t. zw. “katzenjammer”).

AUTENTYCZNE

Do przepełnionego autobusu w Londynie gramoli się objuczony żołnierz brytyjski.

— Sorry — woła konduktorka — następnym niech pan pojedzie!

— O. K., ale przez to spóźnię się na drugi front o całe 10 minut..

W dużym budynku biurowym
**POTRZEBA KOBIET
DO CZYSZCZENIA**

Zapłata plus over-time

\$30. i więcej tygodniowo.

Zgłaszać się: Superintendent
70 Pine St., New York, N. Y.

JUŻ WYSZŁY NAKŁADEM “ROJU”

i są do nabycia nowe książki

KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO
“BALLADA O CHURCHILLU”

— i —

“POLSKA LITERATURA WSPÓŁCZESNA
NA EMIGRACJI”

Żądajcie we wszystkich polskich księgarniach

Potrzeby na czasie!



HELENA RUBINSTEIN

Wyśmienity środek

na usuwanie włosów

Cena \$1.

Komplet zapasowy 50 centów